

Rozdział 1

SPOTKANIA

Zygmuntowi i moim krakowskim Przyjaciółom

Bóg wziął nasiona z innych światów i umieścił je na tej Ziemi. I weszło wszystko to, co wejść mogło. Ale to, co weszło, żyje tylko dzięki temu, że jest w kontakcie z owymi tajemniczymi światami.

Dostojewski

Wszystko, co istnieje na Ziemi, ma swój duchowy pra-obraz w nadziemskim; i nie ma niczego w świecie choćby nie wiem jak małego, niepozornego, nieważnego, co nie byłoby związane z jego wyższym odpowiednikiem. A związane jest z nim w taki sposób, że gdy to niższe poruszy, to jego (niebiański) odpowiednik mu odpowie.

Księga Zohar

Kto Prawdę czyni, ten jest w Światłości.

Ewangelia wg św. Jana

Dopiero teoria powiada, co mierzymy.
Einstein (w rozmowie z Heisenbergiem)

Byłem ukrytym skarbem i pragnąłem być pozna(wa)ny; dlatego stworzyłem świat.

hadis

Gdy starszy już człowiek patrzy wstecz na swoje życie, może sobie uprzytomnić, wskazać niewiele (kilka, a może tylko jedno?) spotkań, które, jak teraz dopiero widzi, były egzystencjalnymi wydarzeniami: zmieniły bieg jego życia wewnętrznego, a nieraz i zewnętrznego.

Tu chcę mówić właśnie o takich egzystencjalnych spotkaniach (w sensie niem. *Begegnung*). Moje wywody mają na celu zachęcenie Czytelników do spojrzenia na ich życie, na ich spotkania. Owe przypadki napełniają nas głęboką

wdzięcznością – nie tylko do losu, Boga, anioła opiekuńczego, lecz także do tych ludzi, którzy byli dla nas impulsem, pośrednikami, którzy otworzyli nam nowe przestrzenie, nowe światy, poruszyli ukryte struny naszej duszy...

Zwykle byli to ludzie żyjący w naszym empirycznym świecie. Zdarza się jednak – i to nawet częściej – że wpływ na nasze życie mają ludzie, których nigdy nie widzieliśmy. Oddziałują na nas ich dzieła: książki, rozprawy naukowe, traktaty filozoficzne i teologiczne, dzieła sztuki. Nieraz pochodzą one sprzed dziesiątków, setek czy tysięcy lat („święte księgi”). Jednak owe dzieła można utożsamiać z ich autorami, którzy żyją w nich wtedy, gdy dzieła te trafiają do nas i nas poruszają – wydarza się (wtedy) egzystencjalne spotkanie.

Gdy przyjrzymy się dokładnie np. czytany przez nas książkom, okaże się zwykle, że jakieś rozdziały czy poszczególne zdania nie od razu, nie przy pierwszej lekturze okazywały się dla nas spotkaniem. Nieraz dopiero po wielu latach ta powieść, ów wiersz czy artykuł nas poruszy. Często ze zdziwieniem zauważamy, że zakreśliiliśmy w naszej książce jakieś zdanie, o którym zupełnie zapomnieliśmy, a które teraz przemawia do nas innym, nowym językiem. Mogą to być nawet nasze uwagi spowodowane lekturą i rozważania w starych brulionach – zdarza się, że zupełnie przez nas zapomniane. Ze zdziwieniem zapytuję: czy byłem wtedy taki mądry, o tyle mądrzejszy niż teraz, że mogłem coś takiego napisać? Może więc nie są (nie były) to nasze myśli, może wtedy ktoś (coś) myślał(o), a my byliśmy jedynie struną, która rozbrzmiała? Wielkie myśli nie są prywatną sprawą: działają one w nas i nie tylko w nas.

Widać stąd wyraźnie, że do pewnych spotkań trzeba dojrzeć, że pewne sprawy i ludzi trzeba zauważyć, a zwykle – tak przejeżdżając – prawie niczego nie dostrzegamy i nie słyszymy („mają oczy, ale nie widzą, mają uszy, ale nie słyszą”). Często słyszy się westchnienie: „Ach, gdybym żył wtedy w Palestynie, spotkałbym Jezusa z Nazaretu. Ach, gdybym żył 200 lat temu, chodziłbym na wykłady Schellinga... Ach, ci szczęśliwcy, uczniowie Jezusa (Buddy, Mahometa...)”. Ale przecież to zwyczajne oszukiwanie siebie: zapewne nie zauważyłbyś Jezusa, tak jak nie dostrzegała Go przeważająca większość ówczesnych mieszkańców Palestyny, przeszedłbyś obok Niego, w ogóle Go nie zauważywszy! Przecież nawet większość uczniów opuściła Jezusa jeszcze w czasie, gdy nauczał. Jakże przejmujące są Jego słowa: „Czy i wy chcecie mnie opuścić?” i rozpaczliwa odpowiedź Piotra: „Panie, gdzie moglibyśmy pójść?!”. Tamci ludzie już wyrobili sobie zdanie, jak miał wyglądać mesjasz: powinien przepędzić okupanta, a potem zasiąść na tronie Dawida. Przecież ów człowiek z Galilei nie mógł być ich mesjaszem! Dlatego dla chrześcijan Chrystus (greckie tłumaczenie hebrajskiego słowa *maszizach* = „pomazaniec”) oznacza zupełnie kogoś innego! A przecież 1633 lata później za mesjaszem Sabatajem Cwim poszły setki tysięcy w upojeniu i ekstazie – straszne dla większości z nich było obudzenie! Do spotkania trzeba dojrzeć, a z góry wyrobione

wyobrażenia i uprzedzenia mogą przeszkodzić, nie dopuścić do egzystencjalnego spotkania. Dziś wielu przeważnie młodych ludzi szuka mistrza, przewodnika duchowego, guru – zwykle nie mogą go znaleźć albo „znalazłszy”, po pewnym czasie odchodzą rozczarowani... i szukają nowego!

Mądrość wschodnia powiada: „To nie hela (uczeń) szuka mistrza (guru), to guru znajduje swego ucznia, gdy ten dojrzeje do spotkania!”. Może Chrystus – Zmartwychwstały jest zawsze obecny? Może nie trzeba czekać na Jego drugie przyjście – zwane paruzją? Może czeka On na nas tęsknie, aż otworzymy Mu serce na spotkanie? Bo jak powiada wybitny (niestety zapoznany) teolog luterński Paul Schütz, słowo *parousia* trzeba tłumaczyć jako *An-wesenheit* (*par* = *an*, *ousia* = *Wesenheit*), czyli obecność. Jest to więc coś, co w ezoterycznej mistyce żydowskiej, kabale, nazywa się Szechiną – dziesiątą sefirą. Nawiasem mówiąc, wielki Albert Schweitzer i jego szkoła „konsekwentnej eschatologii” (np. wielce interesujący i odważny teolog szwajcarski Martin Werner w swej gigantycznej pracy *Die Entstehung des christlichen Dogmas*) uważają, że nie-nastąpienie owej paruzji, „drugiego przyjścia Jezusa”, o którym mówi Nowy Testament, doprowadziło do powstania dogmatyki wczesnego chrześcijaństwa mającej „wytłumaczyć” domniemane niespełnienie oczekiwań zapowiedzianych przez samego Jezusa i apostołów. Ale przecież samo życie twórcy owej szkoły obaliło w najbardziej przekonujący sposób jego hipotezę: Albert Schweitzer ukończył medycynę, by udać się do Afryki Równikowej i leczyć tam trędowatych; w jego życie wkroczył Zmartwychwstały – dla niego nastąpiła paruzja. Ale wróćmy do naszych własnych doświadczeń – spotkań! Wiemy, że są ludzie, przed którymi inni otwierają się pełni ufności, szukamy takich ludzi, szukamy spotkań z nimi. Szanujemy ich, nie tylko nazywamy ich ludźmi mądrymi, lecz także mówimy: „Oto człowiek Boży!”. Są to ludzie, których cechuje szacunek, a nawet cześć dla innych, ludzie życzliwi, otwarci, pomocni, skromni. Bo istota drugiego człowieka może być poznana, tzn. można się z nią zjednoczyć, gdy jest w nas szacunek, cześć, podziw – choćby zewnętrzeńcie ów człowiek był nieraz zupełnie mizerny. Dlatego wielcy mistrzowie drogi życia wewnętrznego pierwszy (i ostatni!) odcinek tej drogi nazywali „ścieżką czci” (*Pfad der Verehrung*, Rudolf Steiner). O sprawach tych pisze niezwykle subtelnie mądry, wielki psychoterapeuta Gustav Heyer (powrócimy do niego za chwilę!).

Być może największym wydarzeniem nie tylko w fizyce kwantowej XX wieku, ale i w filozofii, psychoterapii, a może nawet matematyce, było odkrycie bulwersujące dotąd wielu (większość?), wyrażone przez Wernera Heisenberga (jednego z największych fizyków współczesnych, współtwórcy teorii kwantów) tymi słowami: „Współczesna fizyka zdała sobie sprawę, że nie bada przyrody jako obiektu, lecz relację człowiek – przyroda”. Ta głęboka filozoficznie uwaga wielkiego badacza znalazła wcześniej matematyczny wyraz w słynnych „relacjach nieoznaczoności” Heisenberga (zwanym też sucho

nierównościami Heisenberga), a także w zasadach komplementarności – czy też dwoistości obrazu falowego i korpuskularnego. Wielki matematyk Claude Chevalley widział analogiczną sytuację we współczesnej matematyce, np. w teorii funkcji (krzywych) algebraicznych. Z kolei Heyer dostrzegał podobny stan rzeczy w procesie psychoterapeutycznym obejmującym jednak pacjenta i terapeutę.

Konsekwentne przemyślenie takowych obserwacji i dyskusji prowadzi do wniosków:

1. rzeczywistość jest światem Człowieka będącego całością wszystkich ludzi rozumianą jak u Pascala (patrz niżej!),
2. ów świat-kosmos jest procesem – wydarzeniem dziejącym się stale, podobnym do wielkiego hinduistycznego symbolu: oddechu Brahmy.

W świecie człowieka, w kontaktach międzyludzkich wiemy o tym dobrze, choć nie artykułujemy naszych doświadczeń, tak jak to czyni Heyer.

Ponieważ u nas Heyer jest mało znany, przypomnę, że był przyjacielem Carla Gustava Junga i wielkiego indologa Heinricha Zimmera; należał do współzałożycieli słynnych spotkań wielkich religioznawców, psychologów i teologów oraz filozofujących lekarzy i przyrodników (w willi nad Lago Maggiore). Zadziwia wyjątkowa kultura i mądrość Heyera. Od kilkudziesięciu lat studiuję książki i artykuły tego wielkiego, pozbawionego wszelkiej doktrynalności i fanatyzmu psychoterapeuty, co niestety nie jest wcale częste w tej młodej dziedzinie medycyny. Przypomnę tu niedosłownie kilka wypowiedzi Heyera związanych z naszym tematem – kwestią poznawania prawdy postrzeganą jako spotkanie. Heyer był jednym z pierwszych (a może i pierwszym), który wzbogacił język psychologii i psychoterapii, zapożyczając z nowszej fizyki jej podstawowe pojęcia, jak np. pole sił, energia, komplementarność: tak trudne do pojęcia podstawowe dla Junga pojęcie archetypu stara się nam przybliżyć, ukazując je jako wielkie pole sił (psychicznych), w którym jesteśmy lub w które wchodzimy, jednocześnie je współtworząc.

Osoba jest całością, a filozofia całości dowodzi, że całość jest czymś innym niż sumą części: nie składa się z nich – podobnie jak w fizyce kwantowej mówi się, że atom nie składa się z jądra i elektronów, ale że można go zdeintegrować (rozbić) na elektrony i jądro. Jak twierdzi Heyer:

Całość można by nazwać polem wiodącym (*Führungsfeld*). Nie jest ono jednak czymś, co kiedyś nie istniało i dopiero później zaistniało. Gdyby nie było zawsze, nie mogłoby się wydarzyć (*ereignen*); to pole musi się wszakże stale na nowo uobecniać, by być. Nie ma ani początku, ani końca, bowiem jest wiecznie działającym źródłem – prapoczątkiem (niem. *Ursprung*). Nie ma go beze mnie, a mnie bez niego. Poszukuje i szuka mnie wtedy, gdy ja go szukam. Jest we mnie, choć jestem w nim.

Prawdziwa Rozmowa to najlepiej nam znane wydarzenie będące egzystencjalnym spotkaniem. Ale jakże rzadko się ona dzieje i jak my wszyscy za nią tęsknimy! Jakaż przepaść między nią a inteligentną dyskusją, w której chodzi o pokazanie swej wyższości, popisanie się wiedzą, zdobycie pokłasku, a często – pogniębienie przeciwnika. Prawdziwa rozmowa nie jest przekazem informacji, jest darem, wydarzeniem niezasłużonym: wszystkie wielkie rzeczy, które otrzymujemy, są podarkiem – łaską. W prawdziwej rozmowie rodzi się coś nowego, chciałoby się rzec: pojawia się „ktoś” nowy, rodzi się **Prawda**. Trudno nie pomyśleć tu o wersecie z Ewangelii: „gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich” (Mt 18, 20). Jest to owa Prawda, którą czynić należy. Wiemy, jak wielką rolę odgrywała taka rozmowa już we wczesnym chrześcijaństwie – zapewne z tych wielkich doświadczeń narodziła się IV Ewangelia. Taka rozmowa stanowi więc misterium – po łacinie *sacramentum*. Może to są źródła sakramentu spowiedzi?

Niewątpliwie wiedział o tym Heyer, gdy rozważał zadania psychoterapeuty, pisząc w swym pięknym artykule *Der Psychotherapeut im Kraftfeld der Therapie* (Psychoterapeuta w polu sił terapii), co następuje:

Choć wielce ważne, a nawet niezbywalne są reguły i prawa, systemy i twierdzenia [...], to jednak w naszym [psychoterapeutów – K.M.] zadaniu chodzi przede wszystkim o to, byśmy zachowali i pielęgnowali tę jedyną ludzką zdolność, która umożliwia rozumiejące spotkanie z drugim i jego duszą: jest nią owa wewnętrzna gotowość, by stawać ciągle na nowo, bez uprzedzeń (*unvorsichtgenommen*) i otwarcie w obliczu naszego partnera. Gdy ktoś nie jest zawsze gotów zapomnieć o wszystkim, co wie, o całej swej wiedzy, gdy jakiś człowiek przychodzi do niego w potrzebie (*in Not*), gdy ktoś [terapeuta – K.M.] od razu stara się wpisać tamtego w jakiś schemat – a więc traktować go jako „przypadek taki a taki”, przyniesione wyobrażenia odgradzają terapeutę w dosłownym sensie tego słowa od drugiego... Uniemożliwiają prawdziwą rozmowę!

I dalej Heyer:

Podkreślam, że także dla nas, psychoterapeutów, owa gotowość do nowych spotkań jest niezwykle ważna i pełna znaczeń. Kto drugiego stale rzeczywiście doświadcza, w tym każde takowe doświadczenie [spotkanie – K.M.] porusza struny jego istoty. Całe barwne, szerokie życie przychodzi do naszego cichego gabinetu – każdy przynosi wtedy swe wysoce osobiste zadatki i historię.

Moglibyśmy powiedzieć, że powstaje jakaś święta przestrzeń, w którą wchodzi drugi (a także i my), w której jego istota może się rozprostować, rozwinąć, zakwitnąć, przynieść owoce. Nie trzeba podkreślać, że i my wchodzimy w tę przestrzeń. **Rilke** nazywał w swych wierszach i listach ową przestrzeń *Weltinnenraum* – to słowo stworzone przez wielkiego poetę trudno przełożyć, można

je spolszczyć jako „wewnętrzną przestrzeń kosmiczną” albo lepiej „wewnętrzną przestrzeń kosmosu”. Rilke powiada, rozszerzając doświadczenia terapeuty na całą przyrodę, że zadaniem, powołaniem człowieka jest zarzucić ową świętą przestrzeń na stworzenia-rzeczy, jak płaszcz proroka Eliasza. Powiada: „*Wirft den Weltinnenraum über die Dinge*”. Bo w tym dialogu, w tym poznaniu dialogicznym (Martin Buber, Adalbert Ebner, Emil Brunner i inni) niebiańskie kielki rzeczy – *logoi spermatikoi* – mają szansę dojść do swego spełnienia (por. słowa Dostojewskiego stanowiące motto!).

Powstawanie tej świętej przestrzeni wyraża późniejsza, luriańska kabała wspaniałym symbolem *Cimcum* – samoograniczaniem się Boga, umożliwiającym boski akt tworzenia przez Adama Kadmona – Syna Człowieczego.

Na poziomie ludzkim, mikrokosmicznym słowa Rilkego oznaczają, że Niebiosa oczekują od człowieka, by był współpracownikiem Stwórcy w *creatio continua*. W dziedzinie międzyludzkiej prawdziwa rozmowa objawia tajemnicę, tzn. sakrament „powszechnego kapłaństwa wszystkich wiernych”, do którego każdy z nas jest powołany, o którym marzył Martin Luter (obawiający się zawężonego, urzędowego kapłaństwa).

1.1. SYMBOL jako wydarzenie i spotkanie.

Poznanie symbolowe. Wielka TRIADA

Rzeczywistość jawi się nam teraz jako wielka Triada: świat [naziemnych – K.M.] istot, imion niebiańskich *logoi spermatikoi*, będących całościami, których reprezentanty stanowią nasz świat empiryczny. Ten subtelnie opisywany w neoplatonizmie *kosmos noetos* w naszej tradycji nazywa się Niebem, Imieniem Bożym, Logosem. Wydarzenie łączące owe imiona, *logoi*, z rzeczami, spowijanie – w języku Rilkego – rzeczy płaszczem wewnętrznej przestrzeni kosmicznej nazywa się wydarzeniem symbolowym, działaniem się symbolu, krótko – symbolem, bo łączy boskie *logoi spermatikoi* z ich reprezentantami (symbolami). W tym wydarzeniu człowiek odgrywa, a właściwie ma odgrywać niezbywalnie twórczą rolę. To wydarzenie IV Ewangelia nazywa „Prawdą, którą czynić należy”.

Ta Prawda jest jednocześnie Drogą i Życiem. Stanowi spotkanie z Osobą przez chrześcijan zwaną Chrystusem, Zmartwychwstałym, Synem Człowieczym, krótko: Antroposem, w ezoterycznym islamie zaś – Człowiekiem Doskonałym. Tu może warto – za Pauliem Tillichem – podkreślić olbrzymi krok dokonany w chrześcijaństwie Janowym w koncepcji prawdy w stosunku do rozumienia prawdy w Grecji klasycznej. U Greków (ale także ciągle u nas, mimo 2000 lat dziejów chrześcijaństwa!) prawda jest czymś, co już istnieje, co jest gotowe, tylko ukryte, przykryte jakąś maską, którą trzeba usunąć, by ową prawdę zdemaskować. Taka też jest heideggerowska etymologia greckiego słowa

aletheia jako *Unverborghenheit*. Nie znam greki, ale można by pokusić się o inne etymologie, np. Leta była boginią i rzeką zapomnienia płynącą w Hadesie, *ale-theia* zawiera przecież słowo *theia* – „bogini”. Zostawmy jednak te, być może pożyteczne, igraszki. Ciągłe się dzisiaj uważa, że można mówić o prawdziwych lub fałszywych wypowiedziach (sądach), ale nie o samej Prawdzie, która jest osobą, która wyswobadza, w której można mieszkać i „być z Prawdy” – tak jak u Jana! Czynienie prawdy to na skromnym matematycznym terenie sprawa niemal oczywista: twierdzenie czy teoria matematyczna jest procesem, wydarzeniem, które nazywa się dowodem owego twierdzenia. Jest drogą, którą matematyczna społeczność podąża od przeszło 2500 lat. Twierdzenie matematyczne rodzi się stale na nowo w umyśle matematyka, a gdy ten przestaje uprawiać tę dziedzinę nauki, szybko staje się ono czymś martwym, co później jest powoływane do życia przez innego matematyka. Ze sprawą tą wiąże się ściśle, jak zauważa Tillich, nierozzerwalność teorii i praktyki.

1.2. Jedność teorii i praktyki

Tillich w swych pięknych kazaniach (których nie nazywał kazaniami, lecz „wykładami religijnymi”) adresowanych do ludzi wszystkich religii i wyznań – a także do tzw. ateistów (wielki jezuita Karl Rahner wypowiadał się z wielką sympatią o „zatroskanych ateistach”) – mówi z wielką mocą, że Prawdę czynią także ci, którzy nigdy nie słyszeli o Jezusie Chrystusie, a nawet ci, którzy uważają się za ateistów. Wróć do tej sprawy w dalszej części niniejszego artykułu (sufizm, buddyizm Jodo). Tillich podkreśla w związku z „czynieniem Prawdy”, że obiegowe oddzielanie teorii od praktyki jest błędne, a więc często słyszana wypowiedź: „To jest prawdziwe w teorii, lecz fałszywe w praktyce” winna brzmieć: „Ponieważ jest to fałszywe w teorii, jest fałszywe także w praktyce”. Werner Heisenberg wspomina – w przepięknej książce *Część i całość* – niezwykle ważną dla niego rozmowę z 1925 roku ze sławnym już wtedy Einsteinem w Berlinie. Genialny młodzieniec właśnie odkrył swą słynną relację dwoistości między operatorami pędu i położenia, z której jasno wynika, że nie można mówić o ruchu i trajektorii korpuskuły kwantowej w sensie mechaniki klasycznej. Ale zdjęcia (w kamerze Wilsona) wydawały się temu przeczyć. Einstein wypowiedział swe sławne słowa: „Przecież dopiero teoria podpowiada, co mierzymy!”. Gdy w pewnej dyskusji w Towarzystwie Naukowym Warszawskim zacytowałem to zdanie, nie mówiąc, od kogo ono pochodzi, świetny fizyk doświadczalny (nieżyjący już niestety) Leonard Sosnowski (mój nauczyciel z tajnych kompletów z czasów okupacji) obruszył się: „Któż powiedział to bezsensowne zdanie?”. Odparłem, że Einstein, dyskusji już nie było. Przytaczam to zabawne wydarzenie, niepozbawione pikanterii, by podkreślić, jak głęboko zakorzenione są pewne przesady...

Praxis – *pragma* miała wiele znaczeń, może najważniejsze były: rzeczywistość, praktyka w nowym sensie... *Theoria* natomiast oznaczała ogląd sięgający do istoty rzeczy, widzący idee i „anatomię” kosmosu noetycznego. Wielki znawca filozofii antycznej Karl Reinhardt (autor epokowych monografii *Posejdonios* oraz *Kosmos und Sympathie*) w swej pięknej książce *Platons Mythen* powiada, że rozbieżność na *theoria* i *praxis* pochodzi dopiero od Arystotelesa – jakoby jeszcze u Platona stanowiły one jedność. Nie jestem historykiem filozofii, ale wydaje mi się, że w poznaniu symbolowym wznosimy się do tej rzeczywistości, gdzie *theoria* i *praxis* stanowią nierozdzielalną całość – Prawdę w sensie wynikającym z IV Ewangelii. Dopiero Upadek, wygnanie z raju, wyraża się także w podziale na teorię i praktykę. Zapewne na wyżynach mistyki wielkie religie stanowią jedność; wszyscy ludzie są członkami Syna Człowieczego. Mythosy o prapoczątku mówią o Człowieku Kosmicznym, w stosunku do którego nie ma sensu określać, czy był „męski” czy „żeński”: dopiero Upadek uwarunkował pojawienie się płci. Zapewne wielka neoplatońska koncepcja Prajedni i jej dezintegracji w wielość istot i stworzeń mówi o sprawach pokrewnych. Na poziomie fizyki jej odpowiednikiem jest nierozwiązany do dziś problem kwantyzacji pól (np. grawitacyjnego). U Junga odpowiada to „kwantyzacji”, nieświadomości archetypów. U Hegla zasadniczą rolę odgrywa *Aufheben von Gegensätzen*; piękna to gra słów w języku niemieckim – *Aufheben* znaczy „podnosić”, a także „likwidować”, „usuwać”. Można więc – i tak też to rozumiał wielki filozof – ów proces pojmować:

1. jako podniesienie spraw, które „tu” są przeciwieństwami, do sfery, gdzie stają się jednością (czymś pozbawionym przeciwieństwa);
2. jako usunięcie (w jakiś sposób).

Jako matematyk nie mogę się oprzeć niezwykle ważnej procedurze usuwania osobliwości (np. w geometrii algebraicznej). Najprostszą sytuację zilustrują proste obrazki: na płaszczyźnie krzywa c ma osobliwości w punkcie przecięcia o ; podnosząc krzywą w przestrzeń (trójwymiarową), otrzymujemy krzywą $\tilde{c}$ już nieprzecinającą się – a więc już bez osobliwości.

I na odwrót: rzutując nieosobliwą krzywą $\tilde{c}$ na płaszczyznę, otrzymujemy c .

W końcu męcząca filozofię przez wieki cała alternatywa subiektywne – obiektywne (i względne – bezwzględne) może być *aufgehoben* w tej Prawdzie, która musi być czyniona. Tu jest może na miejscu następująca dygresja:

Od prawieków człowiek europejski poszukiwał opoki niewzruszonej przez zmienność i nieobliczalność losu. Jedynie to, co niezmiennie, wydawało się prawdziwą rzeczywistością. Gdy nominalizm (średniowiecznych teologów!) zlikwidował rzeczywistość istot i pozostały jedynie etykiety, wymienne dowolnie nazwy, droga do ateizmu szeroko się otworzyła. Cechy „boga filozofów” – dokładniej mówiąc: Arystotelesa i arystotelików – to niezmiennosc

(„nieporuszony a poruszający wszystko”) i wszechobecność. Jest on prawodawcą, który wszystko z góry zaplanował. On sam bładł coraz bardziej. Jego miejsce w filozofii (przyrody) zajęły niezmiennie prawa przyrody, wszechobecne, pozwalające przewidzieć, a nawet wyliczyć wszystkie przyszłe wydarzenia. Nic nowego nie mogło już powstać: nowe – cud – stało się niemożliwe, zostało wykluczone. Tęsknota za opoką zmuszała do poszukiwań „praw zachowania”: masy, energii, pędu itd. – i o dziwo, prawa te znaleziono. Gdy wydawało się, że w fizyce mikroświata któreś z tych praw zostało obalone przez eksperyment, znajdowała się dotąd nieznana cząstka elementarna i można było odetchnąć z ulgą!

Obiektywność polega na tym, że coś, co jest jednakie dla wszystkich, a więc intersubiektywne – matematycznie wyrażając: to coś, co jest niezmiennicze przy permutacji wszystkich ludzi, stanowi fundament techniki, obsługi aparatów, pojazdów, narzędzi. Ogólna teoria względności wyraża niezmienniczość równań fizyki względem wszystkich zmian układów współrzędnych. Dlatego największy matematyk XX wieku, mistrz teorii niezmienników, wielki fizyk i interesujący filozof Hermann Weyl nazwał algebraiczną teorię niezmienników teorią względności.

Wylimitowanie człowieka („obserwatora”) z fizyki wydawało się ostateczne. I wtedy właśnie z samej fizyki przyszedł decydujący cios: mechanika kwantowa tzw. szkoły z Kopenhagi i Getyngi wprowadziła nieodwołalnie człowieka do fizyki. Była to prawdziwa rewolucja, także w filozofii.

Pokrewnym wielkim dążeniem ludzkości do asekuracji, znalezienia opoki, było poszukiwanie systemu obejmującego i wyjaśniającego całą rzeczywistość. Najłatwiejszym winno być zbudowanie takiego systemu dla „najprostszej” i „najściślejszej” nauki, jaką jest matematyka. Marzenie to wydawało się gigantowi matematyki przełomu XIX i XX wieku Davidowi Hilbertowi (nauczycielowi Weyla!) osiągalne, gdyby zredukować matematykę do tego minimum aksjomatycznej teorii, by była ona niesprzeczna i by o każdym twierdzeniu matematycznym w obrębie tego systemu można było rozstrzygnąć, czy jest prawdziwe czy fałszywe. Spełnienie snu Hilberta wydawało się tuż-tuż i wtedy nastąpił straszliwy cios zadany jego teorii przez genialnego Austriaka Kurta Gödela: wykazał on – mówiąc najprościej – że nawet w arytmetyce, w każdym zaksjomatyzowanym systemie teorii liczb można podać wypowiedzi, twierdzenia, o których w obrębie tego systemu nie można rozstrzygnąć, czy są prawdziwe czy fałszywe, a które można (nieraz) udowodnić – rozstrzygnąć w szerszym systemie. Prowadzi to do konieczności budowania nieskończonego ciągu coraz szerszych systemów... I tak pewne twierdzenia algebraicznej teorii liczb mogły zostać udowodnione dopiero metodami analitycznej teorii liczb. Tę cechę matematyki Jurij Manin, wielki przedstawiciel owej dziedziny, wyraził dobitnie słowami: „Matematyka potrzebuje nieskończenie wielu inspiracji”.

Wypowiedź ta jest dla wielu [i dla K.M.] uszczęśliwiająca, pokazuje ona m.in., że wprawdzie systemy filozoficzne (i teologiczne) były potrzebne, lecz trzeba zawsze poza nie wychodzić: poznanie prawdy jest wydarzeniem prawdziwie, głęboko twórczym, wymagającym ciągle nowych spotkań:

Prawdy posiąść nie można, trzeba Jej służyć, czyniąc Ją!

Powróćmy jednak znów do naszych „naiwnych” doświadczeń i poszukiwań, do myśli krążących wokół „człowieka Bożego”, które mają swe źródło w wielkich religiach i dotyczą ich fundamentu.

1.3. CZŁOWIEK IDEALNY, Chrystus Kosmiczny, Adam Kadmon, Antropos, Syn Człowieczy

Twórca współczesnej etologii i nauki o środowisku, wielki outsider nauki uniwersyteckiej Jakob von Uexküll (1864–1944) rozszerzył niesłychanie pojęcie organizmu zwierzęcego: zauważył, że do każdego zwierzęcia należy nierozłącznie jego środowisko, biotop, nisza ekologiczna, które nazwał *Umwelt*. Oddzielanie pojęciowe zwierzęcia od jego środowiska jest niedozwoloną abstrakcją, a empiryczna reparacja kończy się zwykle mniej lub bardziej powolną śmiercią... Są to sprawy już ogólnie znane (choć nadto wyciąga się z nich praktyczne konsekwencje!) – wielkie przełomowe odkrycia często stają się później „oczywistościami”. Każde zwierzę posiada więc swoje otoczenie, swój *Umwelt*; jedynie człowiek ma świat – *Welt*. Uexküll zauważył niebawem, że także i człowiek nie posiada całego świata, a jedynie świat własny (*Eigenwelt*). Owe światy własne są bardzo różne u różnych ludzi. Mniej więcej w tym samym czasie powstało monumentalne dzieło twórcy „morfologii kultur” Oswalda Spenglera, też outsidera nauki uniwersyteckiej: *Untergang des Abendlandes* (Upadek Zachodu). Dzieło do tego stopnia zbulwersowało społeczność uniwersytecką, że zmobilizowano wybitne sławy (historyków, teologów, fizyków itd.), by zniszczyć Spenglera: powstał opasły tom czołowego czasopisma filozoficznego „Logos”, w którym owi – naprawdę wybitni – uczeni starali się obalić główne tezy wielkiego outsidera. Dziś przeżywamy renesans genialnego Spenglera, czego dowodem jest m.in. to, że niniejsze wydawnictwo przygotowuje pierwsze pełne polskie tłumaczenie *Upadku Zachodu*. Dziś na ogół zapomniano tych, którzy wtedy „obalili” Spenglera!...

Tak więc każdy człowiek ma – czy raczej współtworzy – swój świat własny, żyje w jednej z kilku wielkich kultur będących żywymi organizmami, mającymi swe dzieciństwo, młodość, dojrzałość i upadek starczy – zwany przez Spenglera „cywilizacją”. Spengler pesymistycznie twierdził, że człowiek nie jest w stanie wyjść poza swą kulturę, tzn. pojąć innej. *Upadek Zachodu* stanowi, nieuświadomione przez twórcę, obalenie tej tezy – co przecież w najmniejszym stopniu nie umniejsza genialności tego dzieła. Kierując się tezą Othmara Spanna, można